

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 104.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 września 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Spotkanie się króla Jana III z cesarzem Leopoldem I (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Kazimierz Cieciszowski (dokończenie). — Lekki (początek). — Przygody Guy du Faur pana na Pibraku (z drzeworytem). — Kijów (z drzeworytem). — Ponad źródłem (z drzeworytem). — Korrespondencya od redakcyi. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Kościół parafialny w Małozoszczy — Szachy i rebus.

SPOTKANIE SIĘ

KRÓLA JANA III Z CESARZEM LEOPOLDEM I PO OSWOBODZENIU WIENIA D. 15 WRZEŚNIA 1683 R.

W numerze 51 Tygodnika Ilustrowanego, w rocznicę zwycięstwa pamiętnego nad Turkami i oswobodzenia stolicy Austrii od oblężenia, podaliśmy szczegóły tej bitwy. Teraz, zamieszczając drzeworyt przedstawiający spotkanie się króla Sobieskiego z cesarzem Leopoldem I, podług współczesnych źródeł dajemy do niego krótkie objaśnienie.

Król Jan III wysłał do cesarza Jana Gnińskiego podkanclerzego koronnego, który własnym kosztem wystawił na tę wyprawę chorągiew hussarską, z oświadczeniem pokłonu przyjacielskiego i powinszowaniem odniesionego zwycięstwa, które ocaliło Wiedeń. Dał mu chorągiew wezryską, ażeby ją w darze cesarzowi złożył. Gniński, przybywszy pod Wiedeń, stanął w pustym ogrodzie; chorąży jego Jaskulski, który sztandar ten niósł za nim, postawił go tak nieogłędnie, że mu go ukradziono. Podkanclerzy wysłał gońca do króla, donosząc o tym wypadku, a król, w miejsce zatraconej, dał inną chorągiew turecką. Kiedy stanął Gniński przed cesarzem, ten oświadczył chęć widzenia się osobiście z Janem III; ale przysłany z tym Szafgocz, dał do zrozumienia królowi trudne położenie cesarza, który w obecności elektorów, swojemu zbawcy nie może podać prawej ręki przy powitaniu. „Dałem mu tedy sposób (pisze w swym liście król Jan) że się ja tego dnia z wojskiem ruszę. Skoro tedy cesarz zbliżać się będzie, wyjadę od wojska ku niemu, i przywitamy się na koniach, staniemy przeciwko sobie, ja od mego wojska, a on od swego i od Wiednia; on między elektorami, a ja między synem, senatorami i hetmanami. Przyjął ten projekt z wielką ochotą i tak się stało. Przyjechał cesarz z samym tylko elektorem ba-

warskim, bo już saskiego nie było, kilkadziesiąt z nim kawalerów dworskich i ministrów. Drabanci za nim, trębacz przed nim, *et des valets de pied* sześć albo ośm. *Son portrait* nie opisuję, bo jest znajomy. Siedział na koniu gniadym: *justokor* na nim bogato broderowany, kapelusz francuzki z zaponą i z piórami białymi i ceglastermi, zaponą w szafiry z dyamentami, szpada takż. Przywitaliśmy się tedy dosyć ludzko; uczyniłem mu komplement kilka słów po łacinie, on tymże odpowiedział językiem, dosyć dobrymi słowami. Stanąwszy przeto przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy ukłonił. Nie pociągnął nawet cesarz ręką do kapelusza,

wieć do niego: po których obróciłem się na koniu i pokłoniwszy się wspólnie, w inszą pojechałem drogę. Jego zaś pan wojewoda ruski (Stanisław Jabłonowski) poprowadził do wojska, bo sobie tego życzył, i widział wojsko nasze, które okrutnie było żałosne i głośno narzekano, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie wynagrodzono.“⁽¹⁾ Świadek współczesny, dworzanin króla Jana III, Mikołaj Dyakowski, takie nam jeszcze szczegóły podaje o tym spotkaniu się dwóch monarchów:

„Potem we wtorek z noclegu ruszyło się wojsko, aby fortec bardziej nie ogłodziło, i poszło ze dwie mile czy dalej, gdzie spodziewaliśmy się cesarza. Jakoż we środę nadciągnął do nas, bo był o 12 mil od Wiednia w jednej fortecy, ale nie wiem jak zwaną; który cesarz, jak się zbliżył, dano znać. Wojsko w szyku go czekało, a król z wojska niedaleko wyjechał z hetmanem wielkim Stanisławem Jabłonowskim *obviam* cesarzowi, hetman zaś polny Mikołaj Sieniawski został się przy wojsku. Jak tedy postrzegł osoby królewskiej majestacyą, porwał się do kapelusza; ale ministrowie jego przytrzymali mu rękę, mówiąc: „Stój, mości cesarzu! to przeciwko twojej powadze.“ Gdy zaś tak się już zjechali, że ledwie konie ich głowami się nie zetknęły, dopiero król porwał się do czapki, a cesarz do kapelusza. Obadwa prawie razem zsiadli z konia, witali się i z sobą rozmawiali. Pułkownicy też nasi poczęli się zjeżdżać, a który przyjechałszy skłonił się cesarzowi, to on tylko głową kiwnął, a kapelusza nie zdjął.

„Pogadawszy tedy król z cesarzem trochę, wsiedli obydwaj na konie, i począł cesarz wojsko stojące w szyku objeżdżać, począwszy od królewskiego pułku; i jako zwyczaj jest, że przed monarchami zniżają chorągiew, tak i w pułku królewskim i hetmana wielkiego zniżali. Gdy zaś przyjechał cesarz na pułk hetmana polnego, żadnej chorągwi nie zniżono, co uważając cesarz, pyta się zaraz: „Co za racya, że górnějšíe pułki zniżają przedemną chorągiew, a w tym nie zniżają?“ Ktoś mu odpowiedział: „Ten hetman, co



SPOTKANIE SIĘ KRÓLA JANA III Z CESARZEM LEOPOLDEM I.

na co ja patrząc, ledwie nie zdrętwiał; toż uczynił i wszystkim senatorom i hetmanom i swemu *allie* księciu panu wojewodzie bełkiemu.⁽¹⁾ Nie godziło się jednak inaczej, (aby się świat nie skandalizował, nie cieszył, albo nie śmiał) jeno jeszcze kilka słów mó-

⁽¹⁾ Był to Konstanty książę Wiśniowiecki, który był krewnym cesarza, przez zaślubienie arcyksiężniczki Eleonory królowi Michałowi.

⁽¹⁾ Listy króla Jana III, pisane do królowej Maryi Kazyry w ciągu wyprawy pod Wiedeń r. 1683. Warszawa 1824 r. List X.

jego pułk, ma urazę do waszej cesarskiej mości.“ Pyta się cesarz: „O co?“ Odpowiadają mu, że „kiedy waszą cesarską mość witał, nie uchylił kapelusza.“ Na co cesarz odpowiedział: „Czemużecie mnie nie przestrzegli.“ Już tedy po uczynionej sobie relacji, gdy gdzie na którą chorągiew przyjechał, to zawsze ten honor im czynił.

„Objechawszy wszystkie nasze wojsko, stanął sobie tam na skrzydle, gdzie król i hetman byli, i prosił króla, aby mógł *exercitium* kopij widzieć, jakim ich sposobem zażywają. Zaraz tedy obróciwszy się król do hetmana, mówił aby pokazać jak kruszą kopije, ale wybrać doświadczonych gońców, aby było z honorem narodu naszego.

„Tak tedy hetman, jako przeczorny i doskonały wódz, 24 od różnych chorągwi, kompanij i oficerów, którzy się umieli dobrze z tém sprawić (dawszy im rumaki swoje, jeżeli który nie miał sprawnego konia) na to ordynował, i sam tenże hetman na to instruował ich, jakim sposobem tego oręża mieli użyć, których rozdzielił na dwie partye.

„Kazał im do siebie skoczyć złożywszy kopije, i jak już mają w same piersi składać, tak w tym punkcie, aby do góry podnieśli. Wszystko to za instrukcją hetmana zrobili, i udało się chwalebnie, bez żadnej próby, z czego był bardzo kontent cesarz; ale czy im co za to dał, tego nie wiem, bo jedni afirmowali że im za to kazał kilkaset dukatów dać, a drudzy negowali.

„Pożegnawszy cesarz króla, do Wiednia pojechał, a król marsz swój dalej kontynuował z wojskiem...”

Jak widać z obu tych relacji, rozpowszechniona bardzo anegdota, jakoby przy spotkaniu się monarchów król Jan na ukłon cesarza odpowiedział tylko pokręceniem wąsów, zupełnie jest bezzasadną; zarówno bowiem w liście królewskim, jak i w opowiadaniu Mikołaja Dyakowskiego, wyraźna jest wzmianka, że obaj panujący wzajemnie się z sobą przywitali.

Kronika tygodniowa.

Zbliżające się wybory do rad powiatowych i miejskich, coraz powszechniejsze w kraju obudzają zajęcie. Dziś już z pewnością niemal przewidzieć można, że w kwestyi tej przeważą zdanie ludzi wytrawnych, że sprzeczne z niem opinie, jakkolwiek wywołane niezawodnie gorącą i poczciwą chęcią służenia sprawie ogólnej, lecz niepoparte należyta rozwagą, ustąpią przed dojrzałym sądem i bystrzejszym przewidywaniem tych, co w działaniach publicznych nie samem tylko zwykli powodować się uczuciem.

Mądrością narodów jest umiejące a wytrwale spżytkowanie tego, co podają okoliczności, wyciągnięcie wszelkich możliwych korzyści z następujących się środków, jakkolwiekby te nie przez wszystkich uważane były za dostateczne.

Wyjść nam konieczne należy z tego stanu tymczasowości w jakim dotąd zostajemy, z tego życia na dziś, bez pamięci o jutrze, które w bezwocnem nateżeniu zużywa nasze siły.

W takim położeniu uchylanie się od udziału w wyborach byłoby błędem tém zgubniejszym, że powołani po długiej bezczynności na pole prawie nam obce, wdrażać się przedewszystkiem powinniśmy w te nowe obowiązki i dowieść, że obracać umiemy na pożytek ogólny i trwały ową zdolność do poświęceń chwilowych, jaką naród nasz zawsze się odznaczał.

Pamiętajmy o tém, że ludzie których nazwiska wyjdą z urn wyborczych, jakiekolwiek są granice zakreślone urzędowemu ich działaniu, wiele dla kraju zrobić mogą i powinni. Całą przeto usilność na to zwrócić nam należy, by znaleźć pracowników zacnych i wytrwałych i takich powołać do usługi publicznej, a pod tym względem wypadki przygotowawczych narad wyborców, jedyną i stanowczą winny być dla nas wskazówką.

Położenie w jakim od kilku miesięcy zostajemy i nieodłączne od niego kłopoty, zwracając umysł w jedną stronę, odjęły chwilowo znaczenie wielu innym sprawom, w codziennem, zwykłym życiu społeczeństwo silnie obchodzącym.

Z pomiędzy spraw takich nieposlednie miejsce zajmuje teatr. Nie pierwsi w tym przedmiocie podnosimy głos, uprzedził nas bowiem na tej drodze zacny redaktor Ruchu muzycznego, który w przedostatnim numerze swego pisma, ze zwykłą siłą i wytrawnością pióra, stanął w obronie instytucji, rzuconej dziś na pastwę obojętności i zapomnienia.

Ze szczerego serca godzimy się na uwagi redakto-

ra Ruchu muzycznego. Teatr wtedy tylko zasługuje na obojętność i zapomnienie, jeżeli dąży do zepsucia obyczajów, do rozpowszechnienia niemoralności, jeżeli usiłuje poruszyć zmysły, zostawiając ducha w spoczynku, jeżeli wreszcie ucho słuchacza nie rozumie dźwięków mowy rozlegających się ze sceny. Lecz jeśli nie jest pustą rozprawką, służącą do zabicia kilku godzin czasu, do podrażnienia zmysłów stepionych nikczemnym lenistwem, jeśli jest szkołą narodową obyczajów i sztuki, jeśli rozbudza w duszy najszlachetniejsze i najwznioślejsze uczucia i trąca w najtkliwsze struny serca, wtedy dopuszczenie go do upadku byłoby grzechem, za który terażniejszość stałaby się odpowiedzialną przed przyszłemi pokoleniami.

Z jakimież to przeszkodami walczył znacznej pamięci Jan Nepomucen Kamiński, zanim zdołał przywołać do życia teatr narodowy w Galicyi! Gdyby nie jego usiłowania, gdyby nie te wędrówki po miasteczkach biednych towarzystw teatralnych, przy nieprzyjaznych zewnętrznych okolicznościach, cóżby się stało z czystością mowy naszej w owych stronach, co by się z nią samą stało? Kto nie zna bliżej historii sceny polskiej w końcu zeszłego i na początku terażniejszego wieku, kto nie wie przez jakie koleje teatr w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia przechodził we Lwowie, ten tylko może lekceważyć instytucją na współzucie i pomoc każdego obywatela kraju zasługującą.

Potępiamy stanowczo widowiska, w których zwinność nóg i gibkość ciała trzyma pierwszeństwo przed potęgą myśli żywem oddanej słowem; potępiamy dramata szalonej szkoły, w których talent autorów zachodnich silił się na wynajdywanie coraz to okropniejszych zbrodni i rzucanie w serca słuchaczy jadu zwątpienia i niewiary; ale uderzamy czołem przed arcydziełami dramatycznymi, podnoszącami człowieka do ideału cnoty.

Od publiczności w znacznej części zależy pokierowanie sceną. Zaniedbanie i obojętność, niech będą udziałem widowisk gorszących; poparcie i współzucie, niech spotkają utwory podnoszące duszę i serce. Wskazówką tą wiedziona, dyrekcya teatrów, przy dobrych chęciach, z łatwością może wywiązać się ze swego zadania. Raz jeszcze powtarzamy, że obojętność dla sceny narodowej, jeżeli ta odpowiada potrzebom i słusznym wymaganiom ogółu, jest szkodliwą.

Uważamy tu za właściwe powtórzyć słowa redaktora Ruchu muzycznego w tym przedmiocie wyrzeczone: „Gdyby dobrém było lekarstwem obojętnością wady leczycy, to nie łatwiejszego jak na takie lekarstwo się zdobyć. Ale nie martwym to oporem, nie niezasłużonem zaniedbaniem zle się usuwa gdzie jest, lecz pieczą, miłością, bodajby walką, która przeciw jest znamięm życia i na każdym polu do zwycięstwa doprowadzić może.“

Idźmy do teatru z myślą, że tam spieszymy nie dla pustoty i rozrywki, ale dla nauczania się czegoś pożytecznego, że tam wspieramy szkołę narodowości i języka, kształcimy serce i umysł, a wtedy nikt nie zarzuci nam pewnie że błądzimy, z drugiej zaś strony nikt nie podsunie nam strawy lichiej i nikczemnej, bo ją odepchniemy ze wstrętem.

Oto nasze przekonanie w przedmiocie sceny narodowej, które pod rozwagę i zastanowienie się czytelników naszych otwarcie i sumiennie poddajemy.

Wspomniawszy o Ruchu muzycznym, winniśmy słowo uznania niezamordowanym usiłowaniom zacnego redaktora tego pisma. Pan Sikorski przez lat pięć jedyny ten u nas w zakresie swym organ, pomimo że publiczność z dziwną przyjmowała go obojętnością, podtrzymywał wytrwale ofiarą pracy ciężkiej a bezwocnej, sam jeden nieraz stając na wyłomie, gdy brak funduszy pociągał za sobą i brak współpiszących. Obecnie dowiadujemy się z przyjemnością, że Ruch muzyczny, zamierzwszy zmienić swój tytuł na „Pamiętnik muzyczny i teatralny“, wychodzić będzie nadal w treści rozszerzonej i że przyszłość materyalna tego pisma pożytecznego na czas najbliższy przynajmniej została zapewnioną. Oby tylko obojętność ogółu, usiłowań ludzi dobrej woli nie uczyniła daremnemil....

Z powodu korespondencji zamieszczonej w Nrze 217. Gazety Warszawskiej, dotyczącej wspomnianej w jednej z poprzednich naszych kronik kassy pożyczkowej dla rzemieślników w Łęczycy, raz jeszcze odzywamy się w tej sprawie.

Szanowny korespondent stawia trzy kwestye do rozstrzygnięcia, mianowicie:

1. Czy do pożyczki przypuścić bez wyjątku wszystkich rzemieślników-majstrów, czy też tylko tych, którzy wprzód zostaną członkami téjże kassy?

2. Jak się urządzać, by pożyczający w każdym czasie, bez zbytecznych formalności, mógł zaciągnąć pożyczkę?

3. W jaki sposób przy takich ułatwieniach postę-

pować, aby wypożyczony kapitał był pewny i kassa nie wystawiona na straty?

Zdaniem naszym (którego atoli nie narzucamy nikomu) jedynie członkowie powinni otrzymywać pożyczki. Jeżeli bowiem kto chce korzystać z dogodności społecznych, słuszną ażeby także przyjął na siebie część obowiązków ciężących na wszystkich. Możliwy jednak tutaj zrobić takie rozróżnienie, iżby członkowie założyciele ciężary te w szerszym przyjęli zakresie. Im większa liczba osób dźwigać je będzie, tém one dla wszystkich staną się lżejszemi, a trwałość instytucji zyska na tém bardzo.

Co do drugiego sądzimy, że przez zbyteczne formalności rozumieć tu należy trudność otrzymania pożyczki.

Mniemaniem naszym korzystających z dogodności pożyczki możnaby podzielić na dwie kategorie. Majstrowie potrzebujący summy znaczniejszej, powinni mieć przynajmniej dwóch odpowiedzialnych poręczyteli z członków towarzystwa, którzyby dla zabezpieczenia funduszu pożyczkowego od straty, zobowiązali się solidarnie do zapłacenia rat nieuiszczonych przez dłużnika. Summy zaś mniejsze, nieprzenoszące n. p. 50—100 zł. p., wypadałoby może udzielać na rękojmię honoru, dobrej woli i uczciwości pożyczającego. Tym sposobem podniosłaby się niesłychanie strona moralna i uczucie solidarności w rzemieślnikach korzystających z dobrodziejstwa pożyczki. Należałoby także mieć wzgląd na osobistość pożyczającego. Uczciwość i trzeźwość, są to poręczyteli pewniejsi, jak akta i rewersa urzędowe; kto się temi przymiotami odznacza, ten ma prawo do względów ogółu.

Nakoniec co do trzeciego mniemamy, że wypożyczając kwoty większe z poręczeniem, a mniejsze bez poręczenia, w sposób powyżej ograniczony, kassa nie będzie narażoną na znaczne straty. Większe summy będą miały rękojmię w poręczyteliach; co się zaś dotyczy mniejszych, wątpić należy, aby ktoś chciał dla kilkudziesięciu złotych postradać imię rzetelnego człowieka, a jeżeli taki się znajdzie, to ledwie jeden na dwudziestu, i z tych zapewne połowę prawdziwy tylko niedostatek, nieszczęście lub wreszcie śmierć postawi w smutnej ostateczności niestawienia się na słowie. Tak więc kassa, choćby poniosła jakie straty, te będą wcale nieznaczne, tém bardziej że nieuiszczający się straciłby na zawsze prawo do dalszych pożyczek.

Mógłby nam kto zarzucić, że uczciwość i rzetelność ludzką ograniczamy do pewnej kwoty. Tak nie jest. Instytucya początkująca musi być zabezpieczoną od strat większych; poświęcić jednak coś powinna dla podniesienia strony moralnej w ogóle pożyczających. Kto wreszcie rzetelnie w oznaczonym czasie opłaci pożyczkę mniejszą, ten przez to samo zapewne prawa i do większej nabędzie.

Dla ułatwienia spłaty i obmyślenia funduszy na przypadek zawodu ze strony którego z pożyczających, proponowalibyśmy iżby pożyczki w sposób następny zwracane były.

Ktoś pożyczka n. p. sto złotych. Oddanie naraz lub w większych ratach téj summy zapewne byłoby przytędnym. Otóż należałoby rozdzielić zwrot na rok, w kwotach tygodniowych po złotych dwa. Obracający tą sumką z pewnością co tydzień może łatwo dwa złote zapłacić, że zaś mamy 52 tygodnie w roku, przewyżka zł. 4, stanowiłaby mały stosunkowo procent, posłużyć mogący do utworzenia funduszu rezerwowego, do zwiększenia kapitału pożyczkowego i do wynagradzania wszelkich strat przypadkowych.

Zwrot pożyczki w ratach tygodniowych tę ma jeszcze korzyść za sobą, że w kassie zawsze są pieniądze i że z niewielkim kapitałem częstszą i znaczniejszą pomoc udzielać można.

Na płacenie rat przeznaczycyby należało ranek niedzielny, przed nabożeństwem, w tym czasie bowiem każdy rzemieślnik ma pieniądze, których jeszcze popołudniowa sposobność do stracenia nie rozproszyła.

W tych czasach miasto nasze zubożonem zostało nowym księgozbiorem hr. Grabowskiego, przywiezionym z w. ks. poznańskiego. Zbiór ten zawiera mnóstwo dzieł i rękopisów ważnych i ciekawych, szczególniej dotyczących naszej przeszłości. Mamy nadzieję iż szanowny właściciel uczyni go przystępnym dla pragnących korzystać z tych skarbów i tym sposobem utworzy jedno więcej ognisko oświaty narodowej.

Z nowości literackich donosimy, iż w drukarni J. Bergera wychodzą obecnie od lat sześciu obiecywane *Pamiętniki Kszysztofa Zawiszy*, wojewody mińskiego. Dzieło to z czasów Augusta II jest nader ciekawe i pochodzi z rękopisu biblioteki Zawiszów w Kuchicach na Litwie. Wojewoda miński był rycerzem i statystą i w swoim czasie ważną odegrał rolę. W pamiętnikach tych znajduje się ostatnia wiadomość o naszym dobrym znajomym, Janie Chryzostomie Pasku,

którego w końcu wieku XVII straciliśmy z oczu. Tu zaś pokazuje się, że w roku 1703 żył jeszcze. Dzieło to opracował Julian Bartoszewicz, co samo już przemawia za jego wartością, wiemy bowiem iż p. Bartoszewicz rzeczy lekko nie bierze. Wspominając o Pasku, miło nam udzielić czytelnikom wiadomość, że w Kopenhadze wychodzi obecnie czwarte już wydanie jego pamiętników w duńskim przekładzie. Słowianie znów południowi drukują w Zagrzebiu szóste wydanie Pana podstolego. Jakoś u obcych dzieła naszych pisarzy większe niż u nas mają szczęście.

W zeszłym tygodniu bawił w naszym mieście pan Emanuel Tonner, Czech, professor akademii handlowej w Pradze. Pobratymiec nasz zamierzył poznać Warszawę i jej mieszkańców i zwiadał w niej pilnie wszystkie zabytki przeszłości. Obecnie przez Poznań powraca on do swój ojczyzny.

Niezbyt dawno utyskiwaliśmy na obojętność publiczności dla Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda i lękaliśmy się czy uda się to trudne przedsięwzięcie. Otóż dziś dowiadujemy się, że wielu z nabywców, którzy oddawna zalegali w odbieraniu poszytów, na nowo je wykupuje. Jest więc nadzieja pewna, że to przedsięwzięcie, o którym na chwilę zwątpiliśmy, powiedzie się dobrze, jeżeli i nadal publiczność tak jak obecnie wspierać je będzie.

Kazimierz Cieciszowski.

(Dokończenie.)

Nigdy biskup Cieciszowski myśli tej i powziętych raz zamiarów nie porzucił. Przez dalszy ciąg życia dążył stale do zamierzonego celu szerzenia oświaty, wiary i dobra kościoła. Wyszukiwał młodzież chciwą nauki i tych którzy pragnęli z powołania stanu duchownego. Pomieszczał takich w zakładach naukowych, wspierał radą i funduszami. Tak tworzył aluminów po seminariach, największą otaczając ich troskliwością i nie szczędząc nakładów z własnego mienia. Własnym też kosztem zaopatrywał doborowemi książkami szkoły w swój dyecezyi.

W kilkudziesięciu własnoręcznych listach do Joachima Lelewela, do Wilna i Warszawy pisanych, mamy dowody, jak ta myśl zbawienna a szlachetna nieprzerwanie towarzyszyła czcigodnemu pasterzowi. Nią to powodowany, wyjednał pomieszczenie w uniwersytecie wileńskim Joachima Lelewela. Nielatwą to było rzeczą podówczas, wszystkie jednak trudności biskup przełamał i usunął, a w roku 1804 ośmiastoletni młodzieniec zapisany został jako uczeń tego uniwersytetu. Otoczył go Cieciszowski swoją opieką, nie skąpił rad zbawiennych, a następnie wpływał na stosunki jego z Tadeuszem Czackim.

Zajęty pracami tak użytecznymi dla kraju, rzadko kiedy opuszczał swoje dyecezyę; wyjeżdżał jedynie dla poratowania zdrowia do wód, albo dla odwiedzenia stron rodzinnych i rodziny swojej.

Zmiany krajowe i utworzenie księstwa warszawskiego, żywo go zajmowały, ale obowiązki obywatelskie i pasterskie nie dozwoliły mu brać udziału w tych wypadkach. Nadszedł pamiętny rok 1812. Armia francuzka zbliżała się do rzeki Styr; biskup otrzymał rozkaz usunięcia się w tył linii bojowej. Wiadome są następstwa wyprawy Napoleona I do Moskwy; klęsk jakich doznał powetować już nie mógł; znikł urok niezwykłego, którym się dotąd otaczał.

Biskup wrócił do Łucka i rozpoczął na nowo prace swoje, otoczony czcią obywatelstwa i ludu. W r. 1826 obchodził w Łucku primicye swe pięćdziesięcioletniego biskupstwa. Obrzęd ten okazał, jak był od wszystkich szanowany i wielbiony. Tłum chrześcian oraz Żydów i karaimów przepelniał nawę katedry. Kiedy po odbytej ceremonii wracał do domu, przecisnąć się nie mógł, tak zaległa ulice rzesza ludu wszystkich wyznań, podnosząc do pojazdu jego dzieci swoje i błagając dla nich o błogosławieństwo. Dość tu przytoczyć fakt rzadki na owe czasy, że wtedy od razu dwudziestu Żydów zażądało od niego chrztu świętego.

Ciągła praca sprowadziła nań nieuleczone cierpienie oczu. Już od chwili primicyi swoich mało co widział i machinalnie się podpisywał.

W r. 1827 mianowany został metropolitą. Ociemniały zupełnie, wyręczać się musiał przybranymi osobami, które nieraz nadużywały jego zaufania. Zgasł w d. 28 kwietnia 1831 r.

Kajetan Koźmian opisuje postać biskupa Cieciszowskiego, kiedy go w r. 1809 w Łucku odwiedził.

„Był wzrostu wysokiego, powiada, tuszę pełną, twarzy nader przyjemnej, białej, acz w późnym wieku rumieńcem okraszony, rysów wydatnych, włosów spuszczonych, białych. Ale jakąż w tej twarzy dobroć, słodycz, łagodność, a razem chrześcijańska pokora! Jaka

skromność z powagą i godnością arcykapłana, jak pociągająca uprzejmość, jakie obejście, odznaczające się najlepszym wykształceniem! Zdało mi się że widzę przed sobą Ambrożego lub Tertuliana, z całym urokiem świętobliwości. Taką słusznie nietylko u chrześcian, lecz i u Izraelitów sływał i był celem powszechnego uwielbienia. Był to ideał prawdziwego arcykapłana.“

W tym krótkim zyciorysie nie mogliśmy wszystkich zasług obywatelskich Cieciszowskiego objąć; powiemy tylko że oparli na dowodach współczesnych, potwierdzić możemy i musimy zdanie Koźmiana. Gorąco miłujący swój kraj obywatel-kapłan, wszystkie chwile życia jemu tylko poświęcał. Urok świętości niedarmo go okalał. W r. 1787 straszny pożar wybuchł w Żytomierzu, cały rynek stał w płomieniach. Lud strwożony, dotknięty okropną klęską, wzywa biskupa pomocy. Przybywa processjonalnie, staje w pośród gorejącego rynku; lud pada na kolana, wznosząc pieśń błagalną. Kapłan benedykuje monstrancją, wzywa w korniej modlitwie opieki Bożej; pożar się uśmierza, a chrześcianie jak Żydzi zarówno uznają świętość osoby biskupa.

Przewodnik Woronicza, opiekun Joachima Lelewela, Cieciszowski był jednym z ostatnich złotych ogniw łańcucha dziejowego, co łączył starą Rzeczpospolitą z nowymi czasami.

Będąc głównie człowiekiem czynu, nie zostawił prac naukowych; ale właśnie te czyny, nacechowane najwyższą cnotą obywatelską, nadają mu prawo do czci naszej i wdzięcznej u potomności pamięci.

LEKI.

Stoi chłopię—poblądło jak chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne jak niebo ma oczy;
Tylko czasem coś dziko w nich błysnie,
Pot kroplisty wystąpi na skronie,
Dziecko pięści u serca zaciśnie,
I zduszony jęk kona mu w łonie.
Lecz po licu krwawe przeszły wary,
Złote włosy wiatr z czoła gdzieś zenie,
Bosy chłopak w koszuli swój szarój
Spojrzał, niby gladiator w arenie.
Tak gladiator—w śmiertelnych zapasach
On się z bólem, straszny wrogiem łamie.
„Słuchaj dziecię! są ziółka po lasach,
Zbawcza siła jest w kwiatów balsamie.
Ja ci z gaju kaliny przyniosę,
Macierzanki poszukam na łące,
I srebrozystą otrzęsę z niej rosę,
I listeczki przywinę woniące.
Pod ich chłodem wnet ból się ukoi
I palący żar ognia zładodzi...“
„Mnie nie trzeba balsamu co goi,
Mnie nie trzeba balsamu co chłodzi,
Bo ja drzazgę w ranie mam głęboko,
A ból tylko krew w żyłach zapali,
I z tej spiekłej krwi mojej posoką
Zle na wrzącej wyrzucę precz falii!“
„Biędne dziecię! ból nieraz zabija,
Ból olbrzymów powala do trumny.“
Zadrzał chłopiec, iza w oku się zwija,
Ale nagle wzrok strzelił mu dumny.
„Nie! zawolał, to coś co drga we mnie,
To nie w lzy mój, nie w krwi jest kropelce,
Aniż jakiś szepcze mi tajemnie,
Że siedliskiem żywota jest serce.
A to serce!... chodź, słuchaj jak bije,
Jak potężnym tętnem mi uderza:
Ból gangreną poty nie zabije,
Póki w piersi jest życia moc świeża!“
Zamilkł chłopiec—twarz zbladła jak chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne ku niebu wzniosł oczy.

Marya Ilnicka.

PRZYGODY GUY DU FAUR.

dziedzica na Pibraku (Pibrac), radcy tajnego i prezydenta parlamentu paryskiego, podczas pobytu jego w Polsce z królem Henrykiem Walezyuszem r. 1574.

W orszaku Henryka Walezyusza pierwsze miejsce zajmował Guy du Faur, zwany zwykle Pibrak od swego dziedzictwa. Skoro król przybył do Polski, zwracał pilną uwagę na wiadomości z Francji, pewny że po śmierci brata swego Karola IX, tron francuzki obejmie. Niezadługo też Karol umarł: Henryk zbiera

tajną radę na zamku krakowskim, a Pibrak nalega, aby natychmiast Polskę porzucił i co rychlej zdążył do Francji. Postanowiono dzień uciezki; król w nocy, w towarzystwie kilku tylko osób, wyjechał, i dnia następnego już był na granicach Morawii.

Pibrak, kilką godzinami wyprzedzwszy króla, czekał go w małej opustoszałej kapliczce, blisko gościńca; tu bowiem naznaczono miejsce zebrania się dla wszystkich wtajemniczonych towarzyszy króla. Noc była ciemna. Pibrak, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wkrótce tentent koni nadjeżdżającego króla; z pośpiechem więc, w towarzystwie dwóch ludzi, puścił się za swoim panem. Już kawał drogi ujechał, gdy znów uderzył jego ucho odgłos stających koni. Byli to Polacy, ścigający Walezyusza. Pibrak, obawiając się ażeby ci, spostrzegłszy kilku jeźdźców razem, nie domyślili się drogi króla Henryka, rozkazuje jednemu ze sług by pozostał w tyle i zatrzymał ich cokolwiek, sam zaś z drugim uchodzi dalej; ale w pośpiechu zjeżdża z gościńca, i gdy świtać zaczęło, znalazł się w pośród błot i gęstych zarośli.

Wiść o ucieczce króla już się z szybkością błyskawicy rozbiegła po kraju. Kilku wieśniaków, ujrzawszy Pibraka, zaczęło nawoływać sąsiadów. Zbiega się liczna gromada, a jeźdźcy uciekać nie mogą dla trzęsawisk. Rzucają się wieśniacy zjadale na nich, uzbrojeni w kosy, piki i palki; pierwszy pada zabity sługa. Pibrak, widząc że konno nie wydobędzie się z tych bagien i trzęsawisk, zeskakuje z siodła i pieszo w największy gąszcz pobliskiego lasu uchodzi. (Tę chwilę przedstawia załączony drzeworyt).

Ale wieśniacy, złapawszy konia, chcieli pochwycić i samego jeźdźca. Pibrak rzuca się w bagno, i zanurzony w niem po szyję, znajduje ocalenie. Piętnaście godzin przesiedział w tém błocie. O północy, gdy ścigający go tak zawzięcie wieśniacy odeszli, zostawiając w bagnie buty, pończochy i kapelusz, wydobył się na suchą drożynę leśną i szedł resztę nocy na oślep.

Dzień świtać zaczął, gdy przyszedł nad bystrą rzekę, nie wiedząc czy można ją przebrnąć. Wówczas, podniósłszy oczy do nieba, ze łzami wezwał pomocy Boga, a ułamawszy gałąź od drzewa, wstąpił w toń nieznaną. Szczęśliwie wydostawszy się na brzeg przeciwny, wysuszył nieco odzienie przemokłe, a patrząc w około, ujrzał niedaleko chatę i do niej pospieszył. Znalazł tam kilku wieśniaków, którzy nie mogąc się z nim rozmówić i domyśliwszy się że to Francuz z orszaku uciekającego króla, zaczęli z niego sztydzić, a nawet częstować go szturchańcami. Ale sędziwa jakaś kobieta, wzięwszy cudzoziemca pod swą opiekę, zaprowadziła go pod strych i posiliła zgłodniałego chlebem i piwem. Pokrzepiony nieco na siłach spoczynkiem wygodnym, o północy, gdy wszyscy w chatce zasnęli, puścił się w dalszą drogę, nie wiedząc dokąd go zaprowadzi. Przebywszy bór wielki, nadejściem wyszedł w pole i ujrzał zdaleka karete, do której co rychlej pospieszył. Jadący w niej kazał się zatrzymać, a poznawszy Pibraka, litując się nad jego stanem, wziął go z sobą do powozu.

Był to sędziwy Karnkowski, referendarz koronny, dający na granice królestwa, gdzie się już wielu innych senatorów udało. Gdy Pibrak, przyjechawszy na miejsce, dowiedział się, że król stanął szczęśliwie w Morawach, z radości rzewnie zapłakał. Ale w gronie poważnych senatorów na widok jego zabrzmiał głośny okrzyk zadziwienia i gniewu.

„Nie postąpiłeś z nami, wołali, jak człowiek uczciwy, oszukałeś nas nieszczernie. Za twoją radą król nas porzucił, niepamiętny miłości naszej, bez względu na zamieszanie w jakim królestwo zostawia. Namysł się wcześniej nad obroną swoją, bo zabieramy cię z sobą do Krakowa, gdzie odbierzesz karę godną twych niecznych czynów.“

Pibrak, niezmiészany bynajmniej tą niechęcią, ze spokojnym obliczem niezależnym odpowiedział głosem:

„Nie dziwię się żalowi waszemu z tak nadzwyczajnego zdarzenia; nie mnie atoli, lecz nieuniknionym okolicznościom przypisać je powinniście. Oskarżacie mnie i chcecie sądzić; lecz gdzie są świadkowie mój winy? kto był przytomny, kto słyszał żem ja króla namawiał? Oskarżacie mnie o złą wiarę, ale w czémżem ja okazał? To tylko pamiętam, że dla niejednego z was łaski wyjednywałem u króla. Powiadacie że wyjazd Henryka kraj w zamieszanie pograży. Ależ i zdaleka król czuć będzie nad wami; nie on to wznieci zaburzenia, lecz wzniecą je wasze niezgody, wasze zawiści i znana niespokojność umysłów. Miećcie mądrość i statek, a nie was nie wstrząśnie. Król, ułatwiwszy sprawy dziedzicznego państwa swego, powróci do was. Pamiętajcie coście winni panu waszemu, słuszności i prawu narodów. Zresztą czynicie ze mną co chcecie; ostrzegam was tylko iż król, baczny

na wszystko, pisał już do królowej matki swojej, aby za przytrzymaniem w Polsce którego z Francuzów, wszyscy będący we Francji Polacy przytrzymanymi nawzajem zostali.“

Na te słowa ułagodziły się umysły wzburzone. Proszono go raczej, by jako przywiązany do Polski, nie opuszczał jej sprawy i króla do przedsięwzięcia powrotu nakłaniał.

Pibrak, w karecie referendarza koronnego Karnkowskiego, dopędził króla Henryka Waleczyusza w Wiedniu, gdzie się zatrzymał u cesarza Maksymiliana, i jako nieodstępny swego pana doradca i towarzyszy, przybył z nim do Paryża.

Nie tu jednak koniec przygód i niebezpieczeństw Pibraka. Wysłany następnie do Polski, o mało życia nie utracił we Włoszech, które drogę obrócił, napadnięty od bandy zbójców. Uszedłszy szczęśliwie śmierci, stanął na ziemi polskiej. Ale cierpliwość narodu już była wyczerpaną. Odsadzono króla Henryka od korony polskiej i oznaczono dzień elekcji nowego króla, Pibrak zaś, widząc że jego usiłowania pozostałyby daremnymi, powrócił do Francji.

Szczegóły tych przygód Pibraka, objęte w małej książeczce wydanej w Paryżu 1617 roku, w skróconym wypisie pierwszy nam podał Julian Ursyn Niemcewicz w tomie I Zbioru pamiętników o dawniej Polsce. Warszawa 1822 r.

ani burz dziejowych, ani świetności kolorytu, ani nędż społecznych, ani cudownych legend, ani rzeczywiście bólów, ani Redklifowskich efektów. Stylem archeologów i geografów, dosyć mamy opisów Kijowa; cyfry raportów rocznych o jego ruchu przemysłowym

Wierni tradycyi opisywaczów, zaczynamy od stworzenia świata. Ubolewać nam tu przychodzi, iż nie mamy dostatecznych danych, aby stanowczo powiedzieć, czy Kijów istniał zaraz po wygnaniu Adama i Ewy z raju. Czujemy że ten punkt nierozjaśniony, umiartwieniem będzie dla archeologów, którzy swą nauką zabawiają może, lecz nie zabawiają, to pewna. My, skoro już nie możemy zacząć od pierwszego poranku świata, więc resztę lat ubiegłych opuszczamy, jako wcale nas nieobchodząca, i nagle w roku 1320 ery chrześcijańskiej stajemy na epoce, która Kijów ze wszelkimi jego ziemiami w ręce Gedymina oddała. Zaborczka i potężna ręka litewskiego księcia, gdy coś uchwyciła, to trzymała silnie i dzielnie, i chyba z miłości oddawała w darze. Tak się też stało i tu: narzeczoną koronę otrzymała od rozkochanej Litwy przy ceremonii ślubnej lubelskiej w 1569 roku, Kijów jako perłę, ziemię jego jako oprawę. Wiano to ślubne w skarbcu dziejowym chowane było aż do 30 stycznia 1667 r., w którym perła-Kijów, wyjęta ze swjej oprawy, oddana została Rosyji na lat dwa; w roku zaś 1686 wojewoda poznański Grzymułtowski, zawierając pokój, Kijów z jego okrugiem (t. j. miastami Trypołem, Stajkami, Wasilkowem i Wyszogródkiem), oraz zadnieprską część województwa kijowskiego, na wieczne czasy Rosyji odstąpił. Takim sposobem województwo kijowskie straciło swą



Zeskoczywszy z konia, uszedł w gąszcz pobliskiego lasu.

KIJÓW.

Historia miasta Kijowa, gdyby ją żywym słowem ujął w opowiadanie, byłaby romansem, w którymby niczego nie zabrakło: ani gry ludzkich namiętności,

i handlowym, zwykle po gazetach ogłaszane są w miesiącu lutym; Album kijowskie ołówkiem i piórem stawi czytelnikom przed oczy cuda architektury i miejscowości niegdyś książęcej stolicy: dla Tygod. Illustr. nie wiele więc pozostało. To niewiele zapisujemy.

stolicę i granice jego zarysowały się inaczej: na wschód biegiem rzeki Dniepru, oprócz klinu na którym owe cztery wzmiankowane miasta stoją; na południe stepami Nowo-Rosyji, od północy i zachodu województwami braclawskim, podolskim i wołyńskim. Biorąc



WIDOK OGÓLNY KIJOWA. (Rysował Cegliński, podług fotografii Korlęysza).

rzeczy chronologicznie, samo miasto Kijów do 1320 r. było stolicą książąt ruskich, 347 lat zostawało pod panowaniem Litwy i Polski, a 194 lat należy do Rosji; województwo zaś kijowskie, oprócz niektórych swych części, 452 lat należało do Litwy i Polski, a 89 zostaje pod rządami Rosji.

Po utracie stolicy swój w 1686 roku, województwo kijowskie przeniosło ją do Żytomięcia naprzemian z Owruczem; popisy jednak rycerstwa zawsze i stałe odbywały się w Żytomięciu.

Herbem Kijowa był dawniej anioł biały w czerwonym polu, trzymający w prawej ręce miecz goły na dół spuszczonej, w lewej zaś pochwę, która swym końcem dotykała miecza. Województwa zaś kijowskiego herb posiadał w dodatku niedźwiedzia czarnego. Dzisiejszym herbem miasta jest takiż anioł, ale ten w prawicy trzyma miecz wzniesiony do góry, a w lewicy tarczę, którą się zasłania.

Miasto dzieliło się niegdyś na cztery główne części: Stary-Kijów, Padół, Pieczersk i Kreszczatik. Miana te zachowane są dotychczas; powstało jednak później mnóstwo nowych części miasta i dzielnic tych części, tak zwanych kwartałów. Wiem o ile pożytecznym byłoby dla nauki wyczerpanie nazwisk tych części i kwartałów; ale wątpię, aby komu myśl przyszła szukać podobnych wiadomości w Tygodniku Ilustrowanym, który, choćby dla swego tytułu, estetyki wyprzeć się nie może. Zresztą wszystkie te sprawy urzędowe muszą się znajdować w Adres-kalendarzu Kijowa, jeżeli on go posiada.

Ludność Kijowa z natury swojej dzieli się na plcie, mniej więcej tak jak i wszędzie, tylko że tu przeważa rodzaj niejaki; możnaby ją także podzielić na blondynów i brunetów, na ogolonych i z zarostem; ale ten podział niewiele nauczy. Jako miasto, Kijów dziwnie wygląda: powierzchownie wielka, europejska siedziba, zblizka nędzna miasteczka. Posiada wszelki przepych i drożyznę nieograniczoną, ale za to nie ma żadnej dogodności, któremi miasta wynagradzają zwykle mieszkańców po utracie wiejskich przyjemności. Ulice w nowych lub odnowionych częściach szerokie, ale tak niepomiarne, że w zimie, w czasie zawiei, na szerokości ich błędzić można noc całą, ba i we dnie nawet, bacząc że brak ludzi nie daje sposobności rozpytania się o drogę. Wspaniałe, starożytne kijowskie cerkwie, zachwyciłyby kształtami swemi rozkochanego w swój sztuce architekta, gdyby taki architekt tu się znajdował. Cerkwie te, nadające odrębny charakter Kijowowi, odbijają dość dziwnie przy nowym rozbudowaniu się miasta i wyglądają jak poważne historycznych rodów, a pamiętne świetnych czasów matrony, w obec maskarady upstrzonej, ugalonowanej, świecącej, ale złożonej z osób wzajemnie sobie nieznanych, milczącej i znudzonej. Kościół katolicki jest jeden tylko, niedawno wzniesiony w cudownym położeniu

na górze; niewielka to jednak zasługa architekta, bo w Kijowie trudnoby było wybrać miejsce niepiękne.

Dni Kijowa płyną z przepychem; ale jednostajnie. Co trzy lata wybory szlachty, co rok kontrakty, przebite dziś na jarmarki, ożywiają gród ten chwilo-wo; ale to są fety i uroczystości: w powszednie dnie roku Kijów kurczy się i spromienia jedyne potęgi swego wyższego życia w obrębach szkół i uniwersytetów. W zapusty jednak, w dnie tak nazwane mięsne, miewa pozory życia, błyszczącego w szybach lustrowych, w przepychach balów, w wytwności cud-ów. Te ostatnie szeroką w Kijowie mają arenę: można po nim jeździć jak po stepie. Uniwersytet kijowski, choć młoda, ale dobrą i zastużoną ma sławę. O teatrze tego powiedzieć nie można; na nim Halke Moniuszki artyści dramatyczni *gadają*, co tak kształci pojęcie i lubownictwo muzyki w niektórych Kijowianach, że zarząd teatralny, dla zadowolenia tej niewinnej namiętności, każe po kilkakroć z rzędu ową *gadanie* opery powtarzać. Handel *kwitnie*; jest to sta-

tystyczne wyrażenie, które zapewne oznacza, że Kijowianie kupują tanio, a sprzedają drogo. Ile ten *kwiat* kosztuje okoliczne obywatelstwo, nie przesądzamy. Sztuki piękne, oprócz dramatycznej, kwitną także, ale tylko w czasie kontraktów lub wyborów, pod postacią pięknych wiejskich obywaterek, przybywających do Kijowa z ojcami, mężami lub braćmi. Towar sztuk pięknych przywożą jeszcze artyści europejscy do książęcego grodu w kontraktową porę i sprzedają go o ile można najdrożej, co tém dziwniejsza, iż ów produkt zagraniczny przychodzi bez cla i banderoli. O przemysle nie mówimy, nie chcąc jego kwiatu atramentem zwarzyć i barw jego piórem postracać. Barw tych ma tysiące, kształtów miliony; jest wszechobecny; wiska się jak powietrze w najpoważniejsze gmachy; bywa przyczyną kolosalnych i nagłych, jak śmierć apoplektyczna, fortun, a to nie używając reklamy ani sztyldów, tylko krzątając się w ciszy gabinetu. Zwyczaje i obyczaje w Kijowie, są jak w kalendarzu berdyuczowskim pogoda: stronami staro-słowiańskie, go-

wien chłopiec, który kochał i może był kochany. Pewien i pewna!.. już ciż mniej więcej każdy pewnym jest siebie, choć nie każdy pewny jutra. Chłopiec miał pustki w głowie, dziewczyna w sercu. Z wadami tak dalece organicznymi, nie żyje się zbyt długo. To też i oni niebawem pomarli jakoś oboje, mniejsza czy dla całego świata, czy też tylko jedno dla drugiego, dość że pomarli. Dziewczynynie wyprawiono wesele, chciałem powiedzieć pogrzeb wesoły, gdyż bardzo lubiła wesołość, nawet taniec, choćby na swoim własnym pogrzebie; a chłopiec poszedł w świat, pogrzebać się własnym przemysłem. I pogrzebał się zaprawdę, ale to tak dalece, że niepodobna mu dzisiaj odszukać samego siebie. Jakoś ten co szuka, nie jest tym który się schował, zupełnie niby inny, ani podobny do tamtego. Zamiera gąsienica, żeby zmartwychwstać motylem, ale z człowiekiem dzieje się przeciwnie. Owad pelza na to, by wzlatął potem; człowiek wzlatuje, by pelzać przez resztę życia. Czy znacie stworzenie Boskie, które ma cztery nogi wstawszy z łóżka; następnie, przed samym już obiadem, robi się lekkie jak piórko, nawet skrzydeł dostaje (są to cuda pustek w głowie, która zapewne jest żołądkiem duszy); potem, po uczcie nie zawsze strawniej, chodzi na dwóch nogach, na podobieństwo Dyogenesowego koguta obdartego z pierza; potem na trzech ku wieczorowi; aż tym sposobem kołując się po ciemnościach czas jakiś, nie namaca legowiska, na które padłszy zartuje sobie wreszcie i z nóg, i ze skrzydeł, i z uczy, którą strawić trudno. Czy znacie to stworzenie? Sfinks powiada, że to człowiek. A ja wam mówię: miał także cztery nogi i stolik na którym pisze, potem trzy, potem dwie tylko; a przecież tyle jest człowiekiem, co i kogut Dyogenesa. Tylko że z ubywaniem nóg, ubywa, jak wiadomo, i głupstwa stołowi, w czym się znowu zbliża do człowieka. Lecz ileż to takich, co nad warunkami szczęścia myśli całe życie, a umarli niewiele myśląc!.. Co za głupstwo! chciałem mówić całkiem o czym innym.

4.

Gaj do którego lubiłem chodzić na przechadzkę, była to dąbrowa, wieńcząca wyniosłość dziwnie nierówną powierzchnię. Samotnie tam było a malowniczo; ale o tém później. Kiedym z nim zabrał pierwszą znajomość, było to w zimie. Nie zapomnę przyjemnej niespodzianki, jaką mi zrobił domek leśniczego, przyczepiony do stromiej ściany wzgórza ponad parowem, w głębi którego domyślać się można było rwistego strumienia.

Łożyisko parowu stanowiła wązka dolina, ciągnąca się między dwoma pasmami wzgórz, z których jedno wynioslejsze miało pozor pierwotnej jakiejś puszczy, tak dalece głucho tam było od nieprzebitego gąszczy krzewów leśnych, a poważnie od szumu wyniosłej starszyny, to piętrzącej się ku górze, to zstępującej gdzieś

w niedojrzane jakieś zapadliska. Rzadkie drożyny, prawie nieznaczne, pozarastałe trawą i trudne do przebycia, z powodu zewsząd krzyżujących się gałęzi, prowadziły w głąb tej części lasu, i przepadały gdzieś w jarach. Druga strona wyglądała raczej na ogród. Mniej tam już było głuchego lasu dębiny mniej, za to lipy staruszek, pękate buki, brzozy, kępy leszczyny i drząca osika. Miejscami gromady olch wybijających zstępowały aż w łożo potoku; gdzieindziej znowu łożo to, rozszerzając się i jakby odepchnawszy od siebie brzegi oba, pozwalało domyślać się majowej wśród lata łączki, albo szklonego jeziora. Ale raczej łączki jak jeziora, gdyż pod powierzchnią śniegu, pokrywającą w tej porze równie dno jaru, jak i gór wierzchy, czuć tam było raczej pokład liści zeschniętych, nawianych wiatrem i zamarłą murawę, jak ślizką szybę lodu o wygładzonej powierzchni.

2.

W pogodny dni zimowe, z utęsknieniem wyczeku-



Podobna sarnie spłoszonej upadkiem suchej gałązki, zadrzała. (Pomysł i rysunek Gersona).

scinne, proste, uczciwe; stronami paryzko-angielskie, perukarsko-komfortowe, zawsze jednak do niczego istniejącego w naturze niepodobne, choć wszystko przypominają. Język dowolny, jak u wieży Babel. Zależenia mieszkańców różne bardzo, a jedyną wspólną ich cechą jest udawanie czegoś: młodzież udaje dojrzałych; dojrzały udają zgrzybiałych; zgrzybiały udają trupów; panowie udają lordów, szlachta udaje panów; mieszczanie udają biurokracyę; biurokracya udaje ministrów; damy udają modniarki; modniarki udają damy; dziatwa udaje lalki, a cały Kijów udaje europejskie miasto.

PONAD ŹRÓDŁEM.

W odległej starożytności, bo już z jakie kilka milionów uderzeń serca temu, była na świecie pewna dziewczyna, która była kochaną i może kochała, i pe-

jąc wiosny, lubiłem siadać na ściętym pniu starego dębu, na pochyłości parowu. Wtedy po przez obnażone drzew gałęzie, z których ulatując ptak z smutnym krzykiem strząsał iskrzące pyły na podobieństwo srebrzystej kurzawy, widniało niebo perłowym blaskiem zmierzchu, albo bladawym rumieńcem konającego gdzieś dzionka. Wtedy też chatka nad jarem wchodziła w dopełnienie wrażenia. Z komina jej unosił się dym szarym słupem, zwykle śmiało, prosto ku górze, z okienka żywo strzelał ogień wesóły, trzaskający zapewne. Tylko patrzeć, myślałem sobie, jak przyjdzie z lasu właściciel samotnego domku, zziębnięty i głodny. Pewnie otrząśnie z siebie śnieg na prog; a może też w chatce tej odosobnionej nie znają co jest troska. I nie nadszedł jeszcze, a czeka go już dobroczynne ciepło i misa kurzącego się jadała, i jeszcze, kto wie? może i kochające serca wyczekują nieobecnego. O! jakżebym chciał mieszkać w chatce podobnej, zdala od ludzi, sam, sam jeden!.... I wyobrażałem sobie na chwilę, że tam mieszkam już, i zarazem że się zdala przypatruję nowej swojej siedzibie. Ale zniknął wtedy i dym wiejący z komina, i ogień strzelający oknem, a przejmujące zimno zdaleka już zdawało się zalatywać od chatki, w której nikt nie oczekiwał nieobecnego.

3.

Nadeszła wiosna, południowe wiatry, przelotne deszcze, i słońce coraz cieplejsze. Zbierając za sobą szatę swoją, śnieżną niegdyś, dziś zbrukaną w kale i padającą w szmaty coraz większe, uchodziła zima, na podobieństwo przelotnego ptaka, któremu czas jest przybyć, ale czas i odejść. Z szumem wezbrały roztopy, zmąciły się na chwilę przejrzyste wód kryształ, plusnęły deszcze w znowie z ciepłymi wiatry, i wkrótce wyjrzała znowu ziemia rodzicielka ku rodzicielowi słońcu. Potem, przebijając stężalą ziemię i lodu skorupę, wywinał wawrzynek leśny swoje prątki bezlistne, obsypane kwieciami słabiej barwy, zwiędłego pozor, a jednak tkliwie wdzięcznej woni; potem z pod liści, niby na mogile ubiegłego lata, wykwiatać zaczęły pierwiosnki bladawe, potem anemony gwiazdki słoneczne, potem kwiecie barw coraz bogatszych: purpurowe aurykle, złotawe dzwonki i kadzielniczki łąk wrzosowych: fijołki bracia z siostrami. Potem przepadać zaczęło liście poległe pokotem, ustępując miejsca świeżym trawom i licznemu zielu, wleciał z nad zagona skowronek śpiewak Boży, zaklekotał na omszałej strzesze bocian wędrowiec zdaleka, zakukała kukulka w dąbrowie, rozśpiewał się słowik w gęstwinie po nad kamykami leśnego potoku. I kiedy rozświeżyły się drzewa majową wiosną zielenią, kiedy rozszumiały się wietrzyk wśród krzewów i roziskrzyło się słońce po mrugających wód smugach, nie było piękniejszej łączki, jak milcząca dolina w głębi lasu, ani srebrzystej strugi od tej, która płynęła jej środkiem, przelewając się po spadkach, miejscami kipiąc z pośpiechu, miejscami szmerząc na wyścigi z drzącą osiką. Wodne lilie śnieżnego kwiecia, złotawe od środka, wynurzały na jej powierzchni liść gładki, płynący z falą i jak ona lśniący; mchy i porosty podwodne ciągnęły ślizkie warkocze równo z jej prądem; tataraki i sitowie wyszcierały zielonością brzeg jej, ilekroć stawał, się płasciejszym; krusze roślinki o karbowanych dzwoneczkach wkiwały się na zakrętach z kępami brzoź zagładających w płynne zwierciadła, i także z pomiędzy traw nadbrzeża, chwiejących się jak szmaragdowa fala, niby dziewczęta leśne mające stopy w wodzie, niezapominajki, turkusy kwitnące wypatrywały sobie niebo turkusowe.

4.

Kiedy z postępowaniem wiosny rozmnożyło się zieleni i kwiecia, że już i nie zliczyć, po godzinach, po dniach całych, leżąc bez ruchu na murawie przetykanej różnobarwnym bogactwem, lubiłem wpatrywać się w niebo, oglądając na przeciągające obłoki. Wyda się to może komu dziwnym, ale mniejsza. Zdala od ludzi, od wszelkiego rozrągnięcia, nie w ogrodzie żadnym, ale wśród lasu, i to w głębi gdzieś, przy rozmarzającym uroku tej szerokiej, płynącej harmonii szumu, który jest pieśnią zieleni, w chłodzie grających liści, które wytrzymują za ciebie wszystkie palące promienie, a tobie przesyłają tylko blaski złotawe,—spoczynek, stan bezwładności jest szczęściem nad szczęściem. I kiedy wsłuchawszy się w ten szum nieustanny, który opływa cię zewsząd jednostajnie, tak dalece się już zaszuchasz, że ci się zrobi pieśnią zrozumiałą, a natomiast gwarne śpiewy ptastwa Bożego rozlegają się w około jakimś szumem niepojętym, niby głuche dzwonięcie, lub tępe bicie tętna na tle ciszy;—wtedy patrz tylko w niebo,—w niebo, nigdzie więcej. Chwiejące się drzew konary, migocący liść i gałązki

wierzchów grające jak fala, to niby ramy obrazu. I z po za tych ram ruchliwych przegląda błękit, kawałek błękitu, starannie niby wybrany z reszty, niby na podobieństwo jednego niebieskiego świata, któryby osobno oglądał gwiazdarcz w noc cichą, zostawiając inne na boku. I znowu także, niby zwierciadło zaczarowane, w które utonął całym twoim wzrokiem. Po tym tle niezmaconym, przeciągają w milczeniu wędrownie jakieś zjawiska, widma istot przejrzystych o dziwnych kształtach: to lotne puchy, jedne pierzchające ci w oczach i które radbyś skupić jak były wprzód, inne porozpierzchane i zdążające jedne za drugimi, jakby usiłowały skupić się same. Więc kiedy długo i bez przerwy wpatrujesz się w płynące mgławicami sennych kształtów, zwolna macię ci się zaczyna we wzroku, i zwolna także owłada cię płynienie; aż wreszcie, ukołysany i rozmarzony, mniemać poczujesz sam w sobie, że to obłoki stoją w miejscu, a ty właśnie, że je wymijasz. Bo jak płynąc w łodzi, gdy w brzeg się wpatrzysz, zda ci się że to brzeg się oddala, a ty stoisz w miejscu; tak i żeglarze wysokości, obłoki powietrzne, jeśli długo pogładasz na ciągnięcie ich sennie, po pewnym czasie porwą cię za sobą. Wtedy odszedłszy od siebie, tracisz wolę i wiedzę, i błogo ci z tym. Cóż ci po woli, kiedy nie żadasz inaczej, co ci po wiedzy, kiedy ci wystarcza wiedzieć tylko że płyniesz, płyniesz i płyniesz, a dokąd zapłyniesz?—co ci potem!—I czyliż wie także człowiek, dokąd dąży drogą życia?

5.

Lubiłem też przyglądać się przeciąganiu obłoków w sposób inny jeszcze zaprawdę. W odbłasku, w zwierciadle wody żywej, płynącej sobie, kiedy i obłoki płyną sobie. Wtedy szmer płynącej toni, kojarzy się z szumem zieleni w przedziwnie harmonijne jakieś rozmarzenie. Wtedy też, widząc obraz powtórzonego nieba u stóp swych, kiedy wieisz, że jest drugie takie samo ponad tobą, czujesz się niby wśród dwóch harmonij, niby wśród dwóch przestrzeni, zawieszony na ich przedziale. A przeciał ten, to niepewna—kaś przesłona, niby przezrocza, niby zwierciadłana, mieniąca się coraz inaczej, przyskakująca iskrami. I dopiero tam w głębi, gdzieś pod tobą, po tle czarownym tle błękitnej otchłani, przeciągają mgły wędrownie, orszaki obłoków, zmacone kłęby, lub powichrzzone pasma tkanin pajęczych. Z początku przeciągają, potem zatrzymują się zwolna, a natomiast ty płynąc poczynasz. I nie już kołysaniem się łódki, jak wprzód, ale wniebowzięciem ptaka, pijącego pełną piersią powietrze sfer. I także otchłani owa błękitna, którą masz pod sobą, którą widzisz jakby przez sen po przez przetykaną płynnym złotem siatkę, mruga na ciebie, na podobieństwo kusiciela grzechotnika, kiedy to, jak powiadają, czaruje wzrokiem ptaszka półmucha. I mruga, i mruga, i wabi, i nęci, aż zdaje ci się żeś dostał skrzydeł czy skrzeli, i chce się tobie rzucić w objęcia tej uludy, choć czujesz jeszcze że to tylko uluda. Więc całą mocą odrzucasz się w tył, żeby nie uledeć pokusie, i padasz wtedy na kwiecie nadbrzeżne, bogaciej przybrane niżli bywał Salomon, a krople rosy, w których gra siedm barw światła, spadają ci na czoło płonące od marzeń. Zresztą, dużyby o tym mówić. Inne jest wrażenie jeśli obłoki płyną w brew fali, inne gdy z nią, inne jeszcze jeśli ku brzegowi lub od niego. Jest w tym cały systemat...

6.

Czy się co myśli wtedy? spytacie. Nic wcale. I to stanowi właśnie całą błogość tego stanu. Jeżeli istotnie życie nasze ziemskie odpowiada kartezyjańskiemu „myślę, więc jestem“, to odwróciwszy syllogizm, znajdzie się koniecznie „nie myślę, więc mnie niema“. I powiedzcie mi także, czy nie zdarza się w życiu, że człowiek radby nie być choć na chwilę? Bo uciec od siebie, jest to umrzeć na czas jakiś; przecież jedynie walka jest życiem. I znowu błogie owe godziny bezczynne, chwile bezwładności ciała, uspienia ducha, miałyby być istotnie marnotrawstwem czasu? W ogóle zbyt powszechne to u ludzi i dziwnie zakorzenione uprzedzenie, nie znać się na wartości próżniactwa. Co do mnie, z chlubą wyznają się być próżniakiem z powołania. I nie powiem próżnować przez wstręt do pracy, ale próżnować przez upodobanie do nie nie robienia, próżnować w sposób systematyczny, mozołnie zgłębiwszy wprzód wszelkie środki podwyższenia roskoszy tego stanu,—jest to być smakoszem wysokiego stopnia. Ztąd usposobienie podobne nazwałbym raczej próżniactwem pracowitem, jak są i prace próżniacze, roboty równie ręk jak ducha, które się nie zdały ni sobie, ni drugim.

7.

Słowika przychodziłem słuchać w nocy, bo tylko nocą jest on królem bez podziału. Wtedy blask księżycy przeglądający pomiędzy drzewy, przelewający się srebrem po kamykach strumienia, głuche drzenie osiczyń, ludzące widma przemienionych cieni, na których tle migają tylko wędrownie płomienie, świetliki ulatujące po nad paprocią, świeże wyziewy łąk technących wonią wodnych roślin, ziół leśnych i zroszonego kwiecia,—to jakby przysposobienie do uroczystości wesela, które lubi mieć powiernikiem cichą noc wiosenną, zadumaną głęboko. I oto brzmi śpiew czarowny. Tedy zdumiał się przelotny wiatr w gęstwinie, zaszuchały się drzewa, świta w cieniach od snopów promieni strzelających przez liście, strumień ucieka coraz ciszej. A śpiew rozlega się rozgłośnie, coraz szerzej wzbiera, rozlubowuje się sam w sobie, rozdzwiera coraz kunsztowniej. W oddali drugi gdzieś śpiewak, trzeci, dziesiąty. Ale nie przeszkadzają sobie, owszem, jest w śpiewie ich coś, co się dziwnie godzi, co sobie pomaga, co się wspiera wzajemnie. Żąda współzawodnictwa, połączona tu z umiejętnością jej pokrywania; a tak koniecznie jeden drugiego podwyższa, jeden drugiemu coś ustępuje rad nie rad, z kądem rośnie całość cudowna. Zaprawdę, słuchać słowika w cichą noc majową, słyszeć jak ci on z piersi wyciąga twoje własne pomysły, jak ci on wbrew wypowiada twoją własną najtajniejszą tęsknotę, twój własny żal nieukożony za wszystkiemi co już nie wróci, i to wtedy, kiedy wszystko co cię otacza, zdaje się być tylko dalszym wykładem tego co on mówi;—jestto słyszeć ze zdumieniem to, czego nie wypowie żadna mowa ludzka. I nigdy nie wypowie ci tego skowronek: skowronek modli się tylko, słowik czyta w twej duszy. Jednak, słuchać go po dniu jasnym, jestto chwila zmarnowana. Wtedy słucha się tylko szumu i patrzy w obłoki.

8.

Niekiedy, jeśli nie było obłoków, jeśli niebo było bez skazy, na podobieństwo jednolitego zwierciadła z lazuru, o złotych odbłaskach, lubiłem zapuszczać się w głąb lasu po drugiej stronie doliny. Wtedy zadumany, obłąkiwałem się w bezdrożach, rzadko z dzikich gąszczów wychodząc na gościnną jaką ścieżkę, częściej przedzierając się zmuszony przez powikłane krzewy leśne, obchodząc moczary, piąc się po przykrych ścianach jarów i zapadłisk. Ale i wtedy nawet co krok zatrzymywało mię coś nowego. Tu rozłożył się a omszały dąb, wielowieczny staruszek, przed którym mimowolnie z uszanowaniem odkrywasz głowę; tam staw przeglądający przez drzewa; owdzie łączka wśród rzędziny, niby już lasu kraniec, a jednak w środku jeszcze. Czasem parów zapadły, w głębi którego ze szmerem przeblyskiwała struga płynnego srebra pomiędzy wodnemi krzewy. Lubiłem puszczać się brzegiem, w górę leśnego strumienia. Wtedy nierzadko dochodziłem do jego źródła, z czego radowałem się jak dziecko, wyobrażając sobie na chwilę, że tam był pierwszym jego odkrywcą. Źródło tryskało zwykle z pod łomu kamieni, i czasem z pod ściany wzgórza, którego stromą wyniosłość podtrzymywała jedynie nierozwikłana sieć korzeni od drzew rosnących na szczycie. I źródeł takich dużo było w tym lesie. Osobliwie jedno! Odwieczny dąb zwieszał się ponad jego wytryskiem. Miał wierzch strzaskany od piorunu; za to też jakby wszystkie siły swoje żywotne przelał w konary dolne, przecyhlone po nad stokiem. Oślaniał go i zacieśniał starannie, tworząc tym sposobem tajemnicze jakieś wgłębienie, pełne szumu i wonnego chłodu. Było rodzaj pieczary, utworzonej z obnażonych korzeni opiekuńczego dębu, poobwieszanych mechami, pookręcanych bluszczem, porosłych w trawy i kruchą wiklinę. Z niemalym zdziwieniem ujrzałem ścieżkę idącą od tego źródła w głąb lasu. Puściwszy się jej śladem, zagnałem znalazłem się przy chatce leśniczego, o której zapomniałem już być prawie. Znaczne zmiany zaszły w niej od zimy: było tam teraz ładnie, starannie, kwitnąco. Ogródek nawet na boku pełen kwiecia, bocian na omszałej strzesze, słowik w gąszczu nad parowem. Coś mię ciągnęło zabrać znajomość z ludźmi, którzy tyle umieli uprzyjemnić sobie odosobnienie. Pójdeż tam? pytałem sam siebie. Rozmyślałem chwilę. Ależ co mnie po nich, lub im po mnie! mówilem sobie, odchodząc mimo wiedzy w głąb lasu.

9.

Źródło pod dębem polubiłem nad inne. Bawiło mię śledzić ruchy drobnych kamyków, wypychanych z głębi siłą wytrysku, usiłujących przemódz go swoim ciężarem, znow podbijanych ku górze, znow chcących

spocząć, znów zmuszanych do ruchu, i tym sposobem niepokojonych do nieskończoności. Wieczny niepokój.. czyliż sam nie doświadczałem go w sobie? Raz, kiedy siedział pochylony ponad krawędzią źródła, z wlepionym wzrokiem w jego ton grającą, daleki śpiew doleciał mego ucha. Głos był kobiecy, dźwięczny, młody, zdawał się zbliżać coraz więcej. Znała zaszeleściło opodal, rozstąpił się krzak leszczyny. Była dziewczyna wiejska, idąca z dzbankiem do źródła. Nie spostrzegła mnie i szła dalej śpiewając i pewnym krokiem. Kiedy stanęła nad wodą, pochyliła się, i czas jakiś stała tak bez ruchu, przyglądając się sobie samą w tym płynnym zwierciadle. A ładna była i miała się przypatrywać czemu. Jedyny świadek tego niewinnego obrazka, siedziałem bez ruchu, wstrzymawszy tchnienie. Ale znała zazdrosny wiatr, może sprzymierzeniec dziewczęcia, zaszedł cichym szelestem po krzakach nadbrzeża. Podobna sarnie, spłoszonej upadkiem suchej gałązki, zadrżała, i trwożnie obejrzała się wokoło, spostrzegła mnie wtedy dopiero. Zarumieniała się jak wiśnia, pospiesznie zacerpnęła wody i oddaliła się nie śpiewając już wcale. Ściagałem ją wzrokiem: czas jakiś migła między drzewy, zdawało mi się że obejrzała się na skraj drożyny, ale musiałem się omylić, pewnie już nie było jej wtedy. Nazajutrz, kiedy przyszedł do źródła, już ją tam zastałem. Siedziała zamyślona, z rękami założonemi na piersiach, mając wzrok utkwiony w bieg strumienia. Dzbanek napelniony stał przy niej, a ona nie odchodziła jednak, niewiedząc czemu. Dopiero postrzegłszy mnie, wstała i oddaliła się jak wczora. Tylko że w chwilę potem słychać było śpiew jej, ale niktący coraz więcej. Nazajutrz zastałem ją znów u źródła; chciała odejść znowu, ale uprosił żeby mnie nie unikała.

40.

Była córką leśniczego z chatki nad parowem, domyślałem się tego. I któżby inny, jak nie ona, pielęgnował te uśmiechające się kwiaty w ogródku? ktoby, jak nie ona, rozniecał ten wesoly ogień, który mi sprawiał radość wśród zimy? I w tej chatce odosobnionej, w tej ustrońi dźwięki a pięknej, musiał być koniecznie ktoś, coby równie przystawał do jej wdzięku, jak ona. Coś brzydkiego, byłoby dziwną niewłaściwością w tych miejscach. I ani jej nie wypadło mieszkać gdzie indziej, ani tam komu innemu. Była to zresztą dziewczyna dość zwyczajna. Brakowało wdzięku jej ruchom, tak jak brakuje go wszystkim dziewczętom wiejskim; a przecież jej jednę było z tym jakoś do twarzy. Był wdzięk w tym braku wdzięku. Nie tyle wstydlivosti prostaczki, co raczej dzikości wydającej co chwila dziecko lasów, co zachowawczej obawy z przecucia. I była opaloną jak drugie, a jednak pleć jej, raczej przyćmiona jak ciemna, miała odblask złotawy, tak iż na pierwszy rzut oka zgadywałeś pod tą naleciałą powłoką śnieżną białosc mleka, grającą całym życiem krwi młodej. I widziałem ją raz jak prała u wody z obnażonemi ramionami;— ręce jej były białe, bardzo białe. Miała oczy niebieskie, nie błękitne, ale szafirowe, jak bywa niebo w stronie przeciwnej słońcu. I nie były pozbawione blasku, jak po największej części niebieskie, owszem, zrenica ich błyszcząca, wilgotna, zdawała się ciągle nabierać coraz nową świeżości. I rzęsy miała długie, co się rzadko zdarza u kobiet z ludu. Włosy jej były jasne, złotawe. Wdzięcznie splatać je umiała w dwa drobne warkocze, połączone z tyłu pod końcem chustki, lub je puszczała na ramiona, przetykane wstążkami i kwieciami. Reszta, odebrana od czoła gładko na skroniach, spływała jej po uszami, wijąc się wdzięcznie.

41.

Niech sobie jednak nikt nie tworzy błędnego pojęcia. Taką, jaką ją opowiadam, bywała w dni świąteczne. Wiązała wtedy na głowie chustkę zieloną, której frędzle słabo pasowe, sterczące, dokola opramięniały twarz jej w sposób dziwnie fantastyczny. Kwiatów nie używała zbyt wiele, ale w wyborze ich okazywała smak nieposledni. I nie zatykała ich po za chustkę, jak drugie, tylko je wplatała w warkocze, lub w razie przeciwnym, lubiła mieć u skroni jeden jaki maleńki kwiateczek. I ktoby ją widział wtedy, w zielonym także gorsiecie, w białej spódnice, w białej muslinowej zapasce, wyszywanej starannie, w kwiatach i wstęgach,—pewnieby mu się wydała opiekuńczym duchem miejsc tych, i to duchem wcale nie strasznym zaprawdę. I dziwnie lubiła barwę zieloną ta wychowanka lasów, czém przypominała kalinę, bohaterkę wieśniaczych pieśni, krasniejącą wśród liści... Zresztą widywałem ją i brudną, i bosą, i roztarganą, i dojącą krowy, i szadkującą zielsko, i skrobiącą nawet ziemniaki,—rozmaicie to było. Usta miała wydatne,

ale bardzo świeże, niby poziomki, niby maliny, niby wiśnie; chęć brała całować je do nieskończoności. I nie była piękna zaraz na pierwszy rzut oka, ale ładna, nawet bardzo ładna, wpatrzywszy się nieco. I nie tyle z owalu twarzy, ile z boku, szczególnie w chwili uśmiechu, który nadawał jej wyraz nieporównanej słodyczy. Widać także było wtedy zęby jej śnieżnej białosci, i ożywiały się oczy, a policzki zaokrąglaly, na podobieństwo twarzących pyzatyh aniołków z ołtarza.

12.

Imię jej było Klara.—Czy wiesz, mówiłem jej razu jednego, co znaczy imię które nosisz? Klara, znaczy: jasna, przejrzysta. Nie mogła zrozumieć, jakby to być mogło?—Gdyby chciano, ciągnąłem dalej (siedzieliśmy wtedy u źródła), gdyby chciano wypowiedzieć całą piękność tej wody jak iza czystej, niepodobnaby było pomyśleć o niej coś innego, jak to, co znaczy to jedno słowo.—Prawda, mówiła zamyślona, pięknym jest żywe to zwierciadło, przegląda się w niem niebo błękitne i świetne słońce, i poprzez jego przezrocze z kryształu widać wszystko co się dzieje na dnie. Mówiła to, ani wiedząc, że sama sobie wypowiada pochlebstwo; mówiła, myśląc jedynie o ulubionem swoim źródle, jestem tego pewny. Spytała potem, jakiejto mowy ten wyraz? Powiedziałem jej, że to języka naszej wiary, języka w którym odprawia się nabożeństwo. Radowała się z tego jak dziecko. O wdzięczna prostoto! tyś jest mądrością maluczkich. Nie zapomniałem, jak raz podarowałem jej wstążkę kupioną w miasteczku. Tańczyła z radości, całowała ją, przymierzała po tysiąc razy. Ale upłynęło niedziel parę, i nie widziałem żeby się w nią ubrała. To mnie zdziwiło, myślałem że ją zgubiła; ale oburzyła się na myśl podobną.—Mam ją ciągle przy sobie, rzekła wyjmując z zanadru wstążkę owiniętą starannie, oglądam ją sobie po kilkadziesiąt razy na dzień. Ubawiło mnie to niepomału.—Czemuż jej więc nie nosisz? —Po co mnie ją nosić? ona taka ładna, szkoda mi jej.—Ależ kupię ci sto ładniejszych; jestto przyjemność, którą ja robię sobie samemu, mam prawo wymagać, żebyś mi jej nie pozbawiała.—Tylko trochę jeszcze, prosiła się, składając ręce, tylko niech się jej napatrzę; potem,... niech już patrzą drudzy. Uderzyła mnie trafność tej prawdy prostaczki. Niestety! wrodzonym samolubem jest człowiek, bo szczęście jego wszelkie, to koniecznie posiadanie wyłączne. I niechby nawet wartość jego całą zachował sobie, a drugim okazał tylko jego pozory, to i tak zawsze czuć się będzie pokrzywdzonym, i słusznie. Bo posiadać wyłącznie, jestto nietylko mieć dla siebie, ale jeszcze i mieć w taki sposób, żeby nie miał nikt inny.

43.

Wypadłoby coś powiedzieć o jej ojcu, ale nie wiele jest do powiedzenia. Byłto stary wyjadacz, który służywał niegdyś po dworach, wielki lis i łgarz nieposledni, także i lubownik butelki. Zabijał mię ten człowiek myśliwskimi pogadankami, w grób wpędzał szczegółami dworskich plotek. Szczęściem rzadko zagrażał w chacie, w dzień włócząc się po lesie i polując niby, wieczór poświęcając karczmiu, a niekiedy i noc całą. I nie troszczył się ani o córkę, ani o domu potrzeby; biedna dziewczyna musiała starczyć za wszystko. A był też w chacie dostatek, i nie zbywało na niczem, chociaż stary przepijać musiał niemało. Szczęściem, że owo przepelnianie miary usposabiało go jedynie do wielkiej wesołości i dziwnego wylania serca; miał wtedy zwyczaj bardzo kochać swoje córkę, przypisując jej cenę niesłychaną i wynosząc aż pod niebiosa. Wychwalał ją z gospodarności, z porządku i chęci do pracy, ale najwięcej z piękności, nazywając ją w tym razie podporą swoich lat starych. I trudno było omylić się w zrozumieniu dążności tej ostatniej pochwały. Gadał tylko, że czasby jej mieć kochanków, ale nie wspominał nigdy o mężu. W ogóle, był to człowiek który wszystko rad miał na sprzedaż. Liczył też dużo na mnie, z góry już raz wraz coś wyludzając, lub się przymawiając w sposób bezczelny. Nie trudno było nawet uważać, że sam ułatwiał stosunki moje z dziewczyną, może z umysłu rzadko bawiąc w domu. Wreszcie razu jednego, bez ogródki, ofiarował mi się być ślepym, czém mię niedzniek jeszcze mocniej odepchnął od siebie. Ale z postępem wzgardy ku niemu, rosło współczucie moje dla dziewczyny; któżby się temu mógł dziwić? To co osobliwie zastanawiało w tym razie i pociągało zamiast zniechęcać, była to właśnie żywa sprzeczność, pomimo tak nieuniknionych stosunków, pomiędzy ojcem a córką. I ani zepsucie nie lgnęło do niej, ani nie powstała nigdy skarga na jej ustach. I tyle w jej du-

szy było pogody, tyle spokoju, słodyczy tyle! A jednak, matka odumarała ją wcześniej, i w domu miała zły przykład. Któż ją wychował? Kto ją poprowadził? Mówiła że daleka krewna, która bawiła przy nich, dopóki nie umarła lat temu parę. Może ona, a może osamotnienie i praca ciągła... Ale najpewniej Pan Bóg z nieba wysokiego, który wychowuje zaniedbanych przez ludzi.

(Dokończenie nastąpi.)

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Pana Fr. K., który nadesłał nam dwie szarady konikowe, prosimy o znaczenie takowych; redakcyja bowiem, śród nawalu innych zatrudnień, nie ma czasu łamać sobie głowy nad ich rozwiązaniem.

Panu A. O. w Suwałkach dziękujemy najprzejemniej za ofiarowaną nam pomoc. Próbkę o jakich wspomina, niech raczy nadesłać pod adresem: do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego, Krakowskie-przedmieście, nr 391, i zarazem objaśnić nas bliżej co do sposobu przesyłania drzewek.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Ciechocinek, d. 6 września 1861 r.

..... Donoszę wam na ten raz o fakcie bardzo pociesającym, który, daj Boże, by wszędzie znalazł naśladowców. Kilka rodzin znacznych podało sobie ręce, by odsunawszy na bok formułki światowe, za któremi puste tylko główki uganiają się, utworzyć wieczory literackie dwa razy w tydzień, t. j. we środy i piątki, od godziny 5ej, zapraszając na nie wszystkich chętnych, ileby obszerność lokalu dozwalała.

Wprawdzie spóźniliśmy się z rozpoczęciem tych wieczorów, bo dopiero d. 2 sierpnia pierwsza pani T. otworzyła dom swój w tym celu. Lepiej jednak późno, jak nigdy. Zaczęliśmy od przeczytania „Ekonomii politycznej w związku z moralnością Baudrillart'a, w streszczeniu p. J. Niemirowskiego,“ w przekonaniu, że ta nauka jest arcyprzydatną dla wszystkich, a mianowicie dla posiadaczy ziemskich, przy dzisiejszych socyalnych dążeniach. Wzdrygnął się Ciechocinek na tę nowość tak niespodzianą, a strwożeni przeciwnicy, wykrzyknawszy *veto*, w niedostatku Pragi, zemknęli do hotelu Müllera, tego drogiego przybytku światła i skromności.

O! wówczas z niewypowiedzianą lubością można było nasłuchać się dowcipków niedowcipnych, krytyk niekrytycznych, których echo, roznosząc się lotem błyskawicy po sąsiedniej okolicy Ciechocinka, ścigało zewsząd ciekawych, pragnących przypatrzeć się z bliska temu nadzwyczajnemu zjawisku, i zawyrokować z trójnoga swęj zarozumiałości o naszych pocziwych posiedzeniach.

Jednakże, mimo smutnej wróżby dla naszych wieczorów, pani G., siostra autora *Kirgiza i stepów*, zaimprowizowała następny wieczór pod kolumnami, gdzie się gimnastyka odbywa. Tym razem, nie chcąc odstąpić ekonomii polityczną, zabraliśmy się do komedyi „Sztuka i handel,“ przesłanicznie przerobionej p. K. Kaszewskiego. Chociaż i to czytanie dla niektórych było za poważne, jednakże Sicińscy miejscowi, tym wieczorem zwyciężeni, z swoim *nie pozwalam* skryli się po norach.

Następny wieczór u pani Ż. obudził powszechnie zadowolenie. Z kolei u pani M. odczytano porwijające opowiadanie o Sobieskim Szajnochy i niektóre poezye Mickiewicza; dalej u pani J. z Plocka poezye Kaszewskiego, które z zapalem zostały przyjęte. U pani R., znaniej autorki, odczytał syn jej przesłanicznie artykuł z Tygod. Illustr. „Słówko do młodych ziemianek,“ którego rady zbawienne, dałby Bóg, by co najrychlej weszły w wykonanie. Nareszcie dzień 23 sierpnia zakończył nasze odczyty literackie na wieczorze u państwa J., gdzie unosiliśmy się nad dziełem prozą pisanem Mickiewicza.

W ogólności powiedzieć można, że nasze wieczory wyszły zwycięzko, zapal wzrastał, a grono nasze z każdym dniem zwiększało się zacnem i rodzinami i młodzieżą ukształconą.

Ponieważ huczne zabawy miejsca tu nie miały, przedsiębraliśmy rozliczne wycieczki piesze to do borku, do Kujawiaków naszych braci na mleko, to do ogródka na stary Ciechocinek; a jedną wycieczkę odbyliśmy demokratycznie, na 4ch wozach drabiasznych, potężnie długich, zaopatrzonych siedzeniami słomianemi, pędzonych czwórkami z konia przez dzielnych Kujawiaków; za temi szereg powozów z poważnemi matronami i kapelanem. W gronie tém owacyjno-braterskim znajdował się i Polak moższowego wyznania z Włocławka, zacny obywatel, ukształconego umysłu i serca.

Celem naszej wycieczki było zwidzenie kolei żelaznej, budującej się ztąd o sześć wiorst, gdzie zbie-

gają się grunta Aleksandrowa i Białychbłót; na tych gruntach murują dwa niewielkie mosty, a trzeci na rzece Tężynie, oddzielającej królestwo polskie od księstwa poznańskiego. Nad tą rzeczką leży mała kolonijka Uklej zwana, z kilku chat złożona. W tych punktach ma być komora celna i stacya pierwszj klasy, a szose na przyszły rok poprowadzi do Ciechocinka, gdy kolej żelazna zupełnie zostanie ukończona.

Po daremnem poszukiwaniu soli nad granicą pruską, odkryto tu o dwie wiorsty za łaźniami, na starym Ciechocinku, nowy skarb, bo źródło w wapnie na 100 stóp głębokości, z kąd strumień, bijąc w górę na 10 stóp, wyrzuca na sekundę pięć garncy wody, której smak jest sławo-żelazny, natracający bromem. Próbę wody p. Grotowski, kierujący poszukiwaniem soli, odesłał do Warszawy, a p. Mirecki, student uzdolniony akademii medyczno-chirurgicznej w Warszawie, odebrał polecenie od Rady lekarskiej, by wyparować tyle wody z nowo odkrytej studni artezyjskiej, iżby można wydobyc dwa łuty soli, potrzebnej do rozbioru chemicznego części stałych.

Bawił tu przez cały ciąg pory kąpielnej pan Rządowski, fotograf pracowity i zdolny, który między innymi zdjął dwa widoczki, jeden z tężni, drugi z pijalni, z grupą gości, i te przeznaczył podobno dla waszego Tygodnika.

Cóż na zakończenie powiem? Chyba to, że żądaniem jest ogółu, aby właściciele tutejsi i komitet zarządzający zakładem, zabrali się na seryo do odrestaurowania domów i przykrycia dachów, żeby za kolniierz w czasie deszczów nie ciekło lokatorom; by mieszkania zaopatrzone przynajmniej w sienniki; by postarano się o studnie z dobrą wodą; by na wpa-

dek pożaru przygotowane były środki ratunku; by pod tężniami, gdzie ławki stoją do siedzenia, spód obito deskami, gdyż przewiew wiatru nabawia gości rozlicznych chorób; by pokład tężniowy, gdzie choroby na piersi zwykli przechadzać się, zaopatrzone w sztachetę. Znalazłoby się jeszcze niejedno takie by; lecz ponieważ nie należy do potwarców Ciechocinka, raduję się nadzieją, że gdy miejsce to połączy

szym budowlą, nie tak pod względem piękności, jak raczej dla rodzaju architektury, na jaką w powiatach do prowincyi małopolskiej należących nie często natrafic można. Stawiany jest z kamienia i cegły w stylu gotyckim, z jedną wieżą na czelu, z częścią kapłańską od nawy niższą i pobocznymi kaplicami.

Odnowił go w r. 1593 proboszcz tutejszy, Jakub Chrostkowski, zebrawszy na ten cel pomiędzy parafianami składkę. Przy tém odnowieniu ozdobioną została pięknymi niszami wieża, a kaplica bez wątpienia rozszerzoną i w dachach swoich poprawioną. Drzwi opatrzone nowymi kamiennymi ozdobami, nad którymi w wygiętej kamiennj tablicy wykuty jest orzypolski, a niżej następny łaciński napis:

Me D. Casimirus rex 1342 fundavit. R. Jacobus Chrostkovijs 1595 erexit.

W tymże roku na nowo poświęcił go Piotr Tylicki, podówczas biskup chełmiński.

Ołtarze w tym kościele, lubo są starożytnie, niczém pod względem sztuki się nie odznaczają. Pomników i nagrobków nie masz teraz żadnych, lecz świątynia czysto i starannie jest utrzymywana.

Za dawnych czasów, kiedy w Małogoszczy stał jeszcze wielki murowany ratusz i obszerne piętrowe zabudowania na rynku, tudzież ozdobne a teraz zniszczone kamienice zwane mansyonarskie, wznosił się tutaj na placu targowym drugi kościół, pod wezwaniem św. Rozalii, który teraz już nie istnieje. Dotąd zaś pozostał na górze zwanj Babinek, na cmentarzu grzebalnym, mały kościółek, teraz bardzo zniszczony, w którym zaledwie raz do roku nabożeństwo się odprawia. Kościółek ten wystawił w r. 1595 ks. Chrostkowski, jednocześnie z odnowieniem, a raczej przebudowaniem parafialnego kościoła.



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W MAŁOGOSZCZY. (Rysował z natury Lewicki.)

się z koleją żelazną, a myśl wybudowania domu zebrani zostanie popartą przez sąsiednich obywateli i wejdzie w wykonanie, wtenczas już goście na Ciechocinek narzekać nie będą, bo w nowym tym gmachu znaleźć mają zaspokojenie wszelkich swych potrzeb materyalnych i moralnych.

Bolesław z Ukrainy.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W MAŁOGOSZCZY.

W okolicy checińskiej, bogatej w piękne lecz dotąd mało u nas używane marmury, na pochyłości nieco wzniesionego wzgórza, zewsząd prawie dokoła otoczone dosyć wysokimi górami, leży niewielkie rządowe miasteczko Małogoszcz, o dwie mile od Checin oddalone. W jednej z tych gór znajduje się śliczny marmur koloru kawowego, narzucony białymi punkcikami, z którego wytworne przedmioty wyrabiać będzie można, jeżeli się kiedy ta gałąź przemysłu u nas obudzi, a raczej wróci do dawnego stanu; bo Małogoszcz była niegdyś znacznym grodem, miała obronny zamek i swego własnego kasztelana, który aż do ostatnich czasów rzeczywospolitéj w nazwisku pozostał.

Według miejscowych podań, miasto to pierwotnie wznosiło się na przyległej górze Bochyniu. Obwarowane przez Kaźmirza Wielkiego, liczyło parę tysięcy domów i ludność odpowiednią; lecz skutkiem wojen tatarskich, a następnie morowej zarazy, zniszczało tak dalece, iż pozostali w niewielkiej liczbie mieszkańcy, przenieśli je na miejsce gdzie obecnie istnieje. Za podaniem tém przemawiają częste wykopaliska rozmaitych starożytności i ślady gruzów na wspomnionj górze odkrywane, które przekonywają, iż tam bezwz wątpienia stał zamek małogoski, tylokrotnie w historii wspomniany. Cóżkolwiek bądź, dziś z całej świetności Małogoszczy, pozostał tylko starożytny parafialny kościół, którego wizerunek i opis podajemy.

Kościół ten, pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszj Maryi Panny wzniesiony r. 1342 przez króla Kaźmirza W., należy do ciekawszych w kraju na-

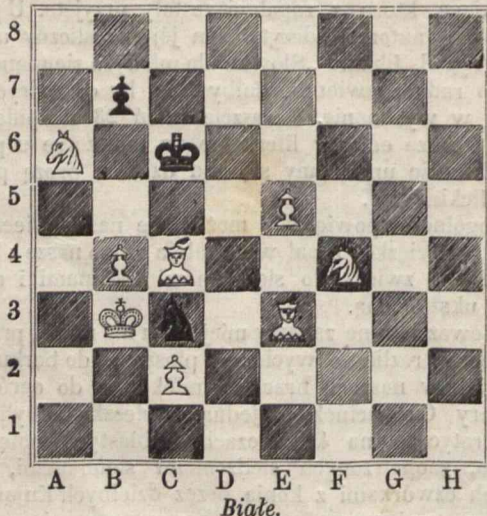
SZACHY.

ZADANIE LXXX.

Z. Rosenthal z Suwałk.

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 103.

Tatara złapał za łeb chłop, a Tatar go nie puszca.

REBUS.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 79.

Białe.

Czarne

- | | |
|-----------------------------|---------------------|
| 1) H 5 — F 4 | 4) G 7 — G 6. |
| 2) H 7 — H 5 † | 2) G 6 — H 5 biorą. |
| 3) A 4 — G 7 | 3) H 5 — H 4. |
| 4) G 3 — H 4 biorą † i mat. | |